

Maciej Waszczyk

Poezje

z lat 1990 - 2020

SPIS TREŚCI

Pierwsza wiosna	7
W ogrodzie	8
Reminiscencje	9
Impresja	10
Dotknięte pasażerowie	11
Rankiem	12
Noc	13
Rzeko	14
Na jesień	15
Z Tomkiem	16
Raz	17
Nieznajomym	18
Autobus	19
Zatoka Gdańska	20
Oczekiwanie	21
Coraz	22
Bachowe	23
Dwa	24
Sosenko	25
Druga wiosna	26
Lato	27
Opozycje	28
Buch	29
Na stacji	30

Zapaść.....	31
Albo albo	32
Nieśmiało	33
Różewiczowe	34
Stenografią	35
Grzesiek mistrzem.....	36
Reminiscencje z jachtu.....	37
Tak samo inaczej.....	38
Wojciechowi Es.....	39
Tolero	40
Tej.....	41
Pocztówka	43
Przedtem i potem.....	44
Telefon	45
Nativa	46
Prawo.....	47
Nowy	48
Kraina cieni	49
Z wysiłkiem.....	51
Pojednanie	52
W dziedzińcu.....	53
***	54
Pejzaż miasteczka.....	55
Na jawie.....	56
Tak jak.....	57
List.....	58
***	59
Utopionym marynarzom	60
Człowiek dumnie brzmi	61

Po czasie	62
Na em	63
Geometryzacja życia	65
Żono	66
Posucha.....	67
Pytania i odpowiedzi	68
Realia realizmu.....	69
Pasjans	70
Atomowe dziecko.....	71
Śpiączka	72
Nie kłamię	74
Nocą	76
San rzeka	77
Złote Hory (Złote Góry).....	78
Wisła rzeka zakręca.....	81
Miasto.....	83
Europejska Kamasutra.....	84
Praca wyzwala.....	85
Endriaszowi.....	87
Cyprys to bas	88
Noce	90
Pokój z komputerem.....	91
Na huśtawce z córką Julką	92
Mąż marnotrawny	93
W podróży	94
Świt hotelową nocą	96
W domu	98
Galindia	101
Stań.....	102

Iść	103
Doktor.....	105
Ptaka wije gniazdo	107
Z pola.....	108
Las	110
Koncert Pana Leszka.....	112
Tatuaż	114
Poprzed.....	115
Pasja	117
Tren	120
Skrzyżowanie	122
Oswajanie śmierci	124
Powtórki	127
Pytania.....	129
Przedrok	130
Czytanie.....	131
Święta	132
Gryzmołę.....	133
Ego	134
Ssy	136
Kardiologio.....	138
Podtytuł	139
Hi Q wieczoru	140
Kolejarz	141
Kochanek.....	142
Córka	143
Kobieta	145
Garściami chleptanie snu	146
Drzewa rosna w mieście.....	152

Przeciekanie padółu.....	153
Boisz się	154
Ludzie.....	155
Miłośnik	156
Fota z Chin	157
Kompania w Hong Kongu.....	159
Nie się.....	160
Dawno	162
Marzenia.....	163
Opuszkami.....	164
Misja.....	165
Ważności	166
Dialog	167
Poranek.....	169
Dla przyjaciół znajomych rodziny	170
Poranka kra łąka.....	172
W kajucie dziobowej.....	173
Rzekł MaRRiano	174

Pierwsza wiosna

bardziej białe od poranka
kwiaty obudzonej śliwy
szarzeją wieczorem

coraz władczo spoglądają
góry znad zaszłego słońca
wieczorem

wieczorem
trawy mętnieją za śliwą

jeszcze białe widać tylko
kwiaty obudzonej śliwy
wieczorem

wieczorem

Biskupów, 1990

W ogrodzie

siadywać na zydlu
pod spękany orzechem
on tyle zrozumiał
i cierpliwie ciągnie
swe spękane gałęzie
ku przyszłości

siadywać na zydlu
przed skrzywioną jabłonią
wejdź na mnie wejdź na mnie
wzdłuż moich gięć się utul
niech na skroniach twoich niech
spocznie spokój

mnich na starym zydlu
wpatrzony w oko stwórcy
marzenie o śmierci
marzył

serce
leniwe w miłości
chciał zbyt szybko
oddać

siadywać na zydlu
pod spękany orzechem
on tyle zrozumiał
i cierpliwie ciągnie
swe spękane gałęzie
ku życiu

Biskupów, 1990

Reminiscencje

wiśniowe zbieranie lipca
wiśniowe palce i kładą
kładą kosza dokładaniem

a kosz ten na biodrze

wiśniowe zbieranie lipca
soczysty cieknie po palcach
coraz suchsze suche wargi

a wiśnie do kosza

wiśniowe zbieranie liści
wiśniowe palce ot ślepe
od kawałków słońca na drzewie

Biskupów, 1990

Impresja

płoną świerki na górze
wiatr szarpie igliwie
tą stroną tą stroną
gałęzią zwęgloną
pień się chyli łapczywie
w ogień nieba trwożliwie
tą stroną

płoną chmury na górze
wiatr szarpie obłoki
tą stroną tą stroną
góry czarną koroną
jak horyzont szeroki
drą strupy z posoki
tą stroną.

zadziwiają się chmury
milknie czerwień na niebie
w oddechu w oddechu...

.....
.....

płoną świerki na górze
wiatr szarpie igliwie
w oddechu tą stroną
gałęzią rozjaśnioną
pień się chyli łapczywie
w ciepło słońca tak tkliwie
tą stroną

Biskupów, 1990

Dotknięte pasaż

ponad łąką firanka
idzie drogą piaskową
pada pada deszcz

spuszcza kroplę łagodnie
modrzewiową gałązką
pada pada deszcz

ponad łąką w ogrodzie
w maleńkie kałuże
pada pada deszcz

oczy świerkom zalewa
w świerkowym natchnieniu
pada pada deszcz

brzoza liść iść oddaje...

i i i
tylko ko ko
pada pada da deszcz
cz
cz

Tyniec, 1990

Rankiem

zdążyłem nad ranem
do zapuszczonego ogrodu
twoich snów

tam łopian dosięgał
uschniętych gałęzi
i łatwo je zwał
czas i deszcz
i owoc ukrywał
swą cierpkość i dzikość
pośród pajęczych dzieł

tam furką dziura w płocie
ścieżką poemat
niedoodczytania
i łatwo je gubi
czas i deszcz

popijaliśmy nad ranem
osłodzoną kawę
w objęciach wierzb

Ełk, 1991

Noc

posunęłaś się w noc gdy usłyszałem
twój równiejszy oddech
odbicie wiatru w szuwarach
wyścigi raków pod mostem

piśnięcie błotnego ptaka
odmierzyło czas na sen i półsen
posunęłaś się w noc gdy spoglądałem
w twój równiejszy oddech

Ełk, 1991

Rzeko

samotna jesteś rzeko
masz smutek pod powiekami
i zziębnięte dłonie

niewielce łagodnie posuwasz zielsko
niebale krążysz wokół pni
pod drewnianym mostem
oddajesz chętniej brzeg

uśmiechasz się rzeko
przez zamokłą rzęsę
i wczesną bryzę

Ełk, 1991

Na jesień

nie mów mi
czekać nie warto
na ptaki na ściernisku
gawrony jesiennej łąki
szemr strumienia sypanego liśćmi

wyginają się w reumatycznym bólu
konary twoich ramion
tak ciągnie od i do wody
wierzbo nadjeziorna
mogę w tobie przycupnąć
i przegłądać żyły twego życia
próchnieją na potęgę
usychasz beze mnie

nie powtarzaj że
czekanie to czas co ucieka
popatrz na przedstawienie
elegancki pod-wieczorek
już zmęczonego słońca

popatrz na uschnięte trawy
na kamień za mostem
oskubanie kukurydzianych kaczan
na zimową ćmę
w pajęczynowej sypialni

Gdynia, 1991

Z Tomkiem

jakbyś czego chciało
 nocą uderzasz na brzeg
prosisz księżyc o blask
 pomarańczową smugę
wymierzoną na cel

jakbyś czego chciało
 łamiesz się falą na piach
sypiesz muszle o brzeg
 naciera w poszumie szturm
wymierzony na cel

plażowe wiklinowe
 budy rzucone na brzeg
w swych wykoślawieniach
 rozpierają się o miął
wymierzone jak cel

rozparcie męskich ciał
 milczenie chłopięcych lat
przyjaznych dymów gest
 pomarańczową smugę
wymierzoną jak cel

jakbyś czego chciało
 zagłuszasz ptaków gwizd
miastowych jazgot aut
 trzaski uśpionych klomb
jak precyzyjny cel

Gdynia, 1991

Raz

dał bardzo morski wiatr gdy
skryłaś głowę do mojego kaptura
to taki kaptur na dwoje
powiedziałaś

bluza z kapturem na dwoje
i ławka na dwoje
i molo
niebo księżyc las

Gdynia, 1991

Nieznajomym

to jest moje drzemanie
cień za drzewem przed lasem
wstaje pociąganiem
poranka

jest moje drzemanie
to cień z za źdźbła trawy
a jest unoszeniem
przez mgłę

moje drzemanie
czasem mnie oczaruje
w spojrzeniu które ma
imię

drzemanie

...

Gdynia, 1991

Autobus

wsiąść do nocnego autobusu
jest ogrzany i miły kontrolnymi lampkami
to już wiesz to zostaw rozsądek na przystanku
milczący kierowca z dopiero napoczętą paczką papierosów
sprawi że nawet nie zauważysz to tu miałem wsiąść

wysiąść na właściwym przystanku rozsądek zadziałał
chłód nocnego powietrza przyśpiesza kroki
nocny autobus nie zawiezie mnie do końca
nie wymaże w pełni spod powiek wstydu
może... może...

Gdynia, 1991

Zatoka Gdańska

jaki odcień przybierasz za dnia
gdy nie ma deszczu
wtedy na piasku znaczysz granicę
bardziej wilgotną
dosyć leniwie wzburzasz i toczysz
krągłe kamyki

jaki odcień przybierasz za dnia
gdy ten jest ciepły
wtedy to słońce stapia się w mgłę
niedoszłe zenitu
dosyć leniwie klepiesz i mrużysz
zaślepie oczy

jaki odcień przybierasz za dnia
gdy dumny jest zmierzch
wtedy deszcz gęsty i szkwał zadarty
staczają walkę
dosyć leniwie mówisz ogromne
spokój chłopaki

Gdynia, 1991

Oczekiwanie

tulą się płatki do siebie
tulipany na deszcz
a deszcz jest oczekiwaniem
prosto pod strugę

chylą się kwiaty od siebie
narcyzy pod skos
a deszcz jest się przegładaniem
w rozmięklej ziemi

prężą się drzewka na deszcz
sosenki zgłębiają igliwie
krople są takie przytulne
są gromadzeniem sił
a deszcz jest oczekiwaniem
ty wiesz

Gdynia, 1991

Coraz

blaszany deszcz dźwięków zza szyby
ten też przypomina mi pewien stary wiersz
i wcale mi nie trudniej opisać
kolor nieba ponad poszarpanymi wierzchołkami drzew
wtedy gdy o słońcu już się nie pamięta
przecież tak dawno temu zaszło
za niedzisiejszą epokę i niedzisiejszy pocałunek

ten też jak stary sentyment
któremu nietrudno wypalić papierosa
przyświecić sobie żarem

blaszany deszcz dźwięków zza szyby
ten też i wcale nie coraz trudniej...

Gdynia, 1991

Bachowe

oczarowaniem jesteś moja muzyko
wygodnym fotelem i mknięciem powiek
od nisko schodzącego słońca
i partity wiatru za oknem

klawesynowe koncerty bachowe
lekką drgają w ciepłym powietrzu
ile można pieścić pąki
tobie się zdaje bez końca muzyku

Gdynia, 1991

Dwa

czasem jest taka noc że wiesz
nad horyzontem trudno do zrozumienia
pomarańczowa pomarańczo wśród białych chmurek
z japońskiego obrazka księżycu

jest taka noc czasami że kręci
się w głowie od mocnego papierosa i myśli
o tobie

czasem idziemy ulicą raz za tym
lub innym domem pomarańczowa pomarańczo
trudno do zrozumienia księżycu

jest taka noc że trudno iść spać od melancholii

Gdynia, 1991

Sosenko

masz tylko dziewięć igieł
i glinianą doniczkę sosenko
dumnie je prężysz
na moje nucenie

masz tylko moje nucenie
o płowej mamie sosenko
wstajesz jak drżący cielak
na mamie lizanie

moje nucenie jak stare
zakurzone nasienie
i czarna wilgotna ziemia
i niewiadoma

Gdynia, 1991

Druga wiosna

kiedy powietrze staje się deszczem
a przestrzeń błyskaniem
oddech świeżością
przyszłaś do mnie

kiedy brzozy stają się liśćmi
a śliwy bieleniem
patrzenie miłością
przyszłaś do mnie

kiedy pagórki stają się barwą
a lasy odcieniem
rozumienie zadumą
przyszłaś do mnie

kiedy trawy stają się twarde
a kwiaty żółcieją
kamienie są gładsze
przyszłaś do mnie

kiedy jabłonie stają się kwiatami
a jasne noce pachną ciepłym dreszczem
przyszedłeś do mnie
letni miesiącu

Gdynia, 1991

Lato

letni deszcz w czasie lata
obrywa gliniaste potoki
wypłukuje kamienie
i pyta się o melancholię

letni deszcz jest letni
jak pozorny brak wydarzenia

letni deszcz pomaga chrząszczom
schować się głębiej w torfowe szpary
mnoży przez tysiąc
pomysł na życie

czasem splukujesz swoje ręce
letnią wodą i myślisz o nas

Gdynia, 1991

Opozycje

przysiądź na krawędzi dnia
w dziury lasu bardziej ciemne popatrzeć
jeszcze i już innego nieba

legnij na skraju łąki
błądą gwiazdę w zaskrzeniu zaskoczyć
jeszcze i już kremowego nieba

tęsknotą jest przestrzeń
morza i gór tych dwojga
rozciąga dzień wieczoru i poranka spokojem

przestrzeń krąży jest tuż tuż
czeka na ciebie
i na ciebie

Gdynia, 1991

Buch

latem ciemny jest las
świerki to sprawiają latem

tyka się cień mocny
odpowiedź słońca
żarnowiec złocisty

modli się piach na urwisku
póki nie upadnie - nie upadnie
zastygł o spieczonych wargach

latem błyszczy się las
w rozgrzanym powietrzu

Gdynia, 1991

Na stacji

nic w duszy mi nie gra tylko
opada orzech za oknem
przemarznięte jabłka na parapecie
nieznaczne przesunięcie wróbla

a wieczory chłód szalikiem otula
gasi światło lampy niewyraźny
księżyc przez gałęzie halo robi
wrażenie czyta kryminał

pokój dwadzieśc na metrosiemdziesiąt
swojskich kolor ubrań i książek
głos obcych zza ściany przypomina mi
jak się nazywam.

Lublin, 1991

Zapaść

w przeszłość-i-maginowane światy
karuzelę upojeń i klęsk
klasyczną twórczość ruchu
magiczną twórczość i bez-

w chwili nagości z tobą
nieoswojonych tajemnic
zapaść to też śmierć

Lublin, 1991

Albo albo

przytul mnie w tę noc
ptaki już zamilkły
odleciałe lub uspione
na zimowych konarach

dokładnie połóż dłonie
na pospawane sprawy
zaciemnię oczy twarz
na twoje pocałunki

zakrzyczę na głos
moje imię "przyjdz"

zapachną ramiona
muśnięcia rzęs
będą muzyką
w rytmice ciał

przytul mnie a jeśli nie
nie pijmy więcej wina
nie mówmy

nie karćmy się.

Lublin, 1991

Nieśmiało

pochyl się
topniejący pierwszy śnieg
powiększa ślady stóp
postawionych wczoraj
pod badylami bzu

przemów ty
kruszejący wczesny śnieg
porowaty z ostrza źdźbeł
przekaze im wiadomość
jeszcze długo będzie zima

rozmów się
na wystygłe kawy dwie
pieść moją dłoń urwisie
myśl myśl
przyszła odwilż
przyszła odwilż.

Lublin, 1991

Różewiczowe

jak dobrze
pić wino upijać
po kropli wdychać krew
myślałem
nie ma wina i krwi

a w nocy
dotykać ciał
i w dzień być blisko
myślałem
nie ma blisko nocy i dnia

jak dobrze
siedzieć przysypiać
patrzeć o kobiecie
myślałem
nie ma kobiet

myślałem.

Lublin, 1991

Stenografią

nieswojo (niepewnie)
chce mi się płakać
jeszcze mi tego nie
wyperswadowałaś
czekam

utul(aj) się
jest kochanie
kupuję to.

Brzeg, 1991

Grzesiek mistrzem

dlaczego nie podać
pizzy na dywanie
cierpkich winnych gron
w świątecznych szampankach
na plastikowej tacy
z naklejkową różą
z rozmysłem ustawiać
kolejki

dlaczego nie tańczyć
na czystym dywanie
walca na dwie pary
w świątyni dźwięku
prowadzić rozmowy
pod baldachimem świec
zmysłowo dotykać
palców

dlaczego nie toć
trening czyni mistrza
ceremonii
a stół ma ho ho ho
sposobów
dlaczego by nie
podać na dywanie
cierpkich winnych gron.

Brzeg, 1992

Reminiscencje z jachtu

wrześniowy rejs i nieba styk
rozłupał cię jak granit
tak łuskiwie twardo i do głębi
ciemny odblasku światła do nikąd

rzeźbiarz na metrach kwadratowych
dziobię cię dłutem jak dziobem
krótką po sobie zostawiam rysę
pył odrzucam jak pianę na wiatr

a nocą wycinam na gwiazdach
trójkątem dakronu bliższy cień
ja to ręce na sterowym kole
a ty busolo trzymaj wzrok

wrześniowy rejs i z morzem nieba styk
nocą odległy o krok a w dzień dwie mile.

Gdynia, 1992

Tak samo inaczej

na wysokiej gałęzi
jesiennego modrzewia
przysiedział gawron
błyszczą w słońcu
dziobie szorstką
żółtość igłaka

na wysokiej gałęzi
styczniowego modrzewia
ten sam gawron
a kolor jest rudy
brudny i opadający
na mokry śnieg

dobrze go widać
za chłodnym porankiem:
tamtego dnia jeszcze
nie było ciebie dziewczyno
na wysokiej gałęzi
jesiennego modrzewia.

Lublin, 1992

Wojciechowi Es

za oknem ból:
rysunek gałęzi
z miotaniem ptaków
przez wiatr

na niebie mgła
zsiadło się mleko
nie dopite
na czas

na ulicy dźwięk
za podwórkami
widać stuki ludzi
o bruk

na tapczanie to
co było drży
tłuczonym szkłem
na krzyk

zrobię śniadanie
otworzę okno
bardzo na oścież

otworzę okno.

Lublin, 1992

Tolero

dzisiejszy wierszokleta wie
ludzie nauczyli się że
księżyc to bryła gruntu
po której można stąpać

współczesnemu wstyd
płakać nad tajemnym
blaskiem obejmując
na osiedlowej ławce

dla agnieszki
zanucę poezję
aż po kukuryku
prawdziwego koguta

na wieczorku autorskim
piotra mazura
ty pisz swoje
a ja swoje kropka

Lublin, 1992

Tej...

tej nocy wystawiłem zegarek za drzwi
udałem się nad stawy pokryte rzęsą
posłuchać gorzkiego szeptu grobli
dotykać końcem języka
tak białych jeszcze brzóz
karłowatych na obrzeżach moczarów
gdzie na nagą pierś mężczyzny
kładły się rudziejące turzyce
pociły się pnie olch pachniały
cisza była jesienna i obumierająca
nie rozdmuchał żaden wiatr
zburzonego pyłu rozmowy
pleśń schła na spękanej ziemi
ciemne świerki strzegły tajemnicy
wystawionej za drzwi tej nocy

tej nocy chciałem ją mieć
maszynę od stukania przedtem zaś
pióro i żółknący od czekania
papier niebieski od maczku
pocięty od emocji wystawiony
z koszem za drzwi tej nocy
nie zdąż zdjąć butów czasem

tej nocy czas liczyłem na słowa
przeciągnięte po groblach
obsychające na wargach
głębokie patrzenie do dna
stawów zielonych zielonych
od rzęsy od rzęsy oczu oczu
czas liczył słowa: jestem przy tobie
jestem przy tobie przy tobie
wystawiony za drzwi tej nocy

tej nocy łatwo uchwycisz się
sosny krzywej i silnej pod wiatr
gdy jesteś słaba jak dziś
drzewo pochyli się nad tobą
wystawi za drzwi
po drugiej stronie
nie śniły się filozofom
nasze krajobrazy
dwóch stron lustra
w jednym ciebie.

Tej nocy wystawiłam
zegarek za drzwi
jestem przy tobie
w dzień podnieś słuchawkę
przeczytaj mi z kolan
niespanego i smutnego głosu
napiję się aż do wieczora
gdy udasz się nad stawy
pokryte rzęsą
posłuchać gorzkiego
szeptu grobli
dotykać końcem
następnej nocy
dotykać końcem
następnego dnia.

Lublin, 1992

Pocztówka

nie starczy mi czasu
by powiedzieć ci
każdą samotną myśl
wezbraną jak fala
gdy jestem morzem
zbełtanym do dna
przez słony wiatr

poczekaj ty
niech dobiję piach
usypuj go z klifu
pełnej piersi
gdy jesteś plażą
wznoszoną od dna
przez słony wiatr

granica wilgotna
oddziela światy
prące na siebie
jak zalać zasypać
...ogień
wygaszę ciebie
a ty mnie

starczyło mi sił
by powiedzieć ci
szko
eju.

Lublin, 1992

Przedtem i potem

czy drogę do nowej poezji
nową drogę do ciebie
odnajduję co noc
lub też w dzień
od piętnastego
do czternastego
może minąć miesiąc
gdy wiosna tuż
czyni schludnym ulice
bo na chlapę deszcz
po asfalcie ludzi
i namuł w kanały
jeszcze raz:

czy drogą do nowej poezji
nie jest mój wkrok
na niewycyklinowane
czy nową drogą do ciebie
nie jest mój wkrok poza
z lukru potrzaskane drzwi
bo tam jesteś muzą
młodości i starości.

Lublin, 1992

Telefon

na wyścigi z odkładaną słuchawką
stawił się dialog i monolog
wygrał dość sprawnie ten drugi
pierwszy poczeka innego turnieju
jest bardzo cierpliwy skubaniec
na dłuższą metę bezkonkurencyjny

wyszarpnię druty aż do twojego numeru (!)
chcę widzieć usta w które mówię (!)
a tak w mundurze kawalerzysty
macam ciepłą ranę ziemi
w krwi łyzy równo są nieobtarte
za słone by nie szczeznąć kalece

na wyścigi z odkładaną słuchawką
nie decyduję się po namyśle
jutro przecież się przywitamy
ciepłym policzka zapachem południa
prześląknę prześląkniesz prześląknie
na dziedzińcu ulicy w podwórku

powiesz powiem powie:
wyrwij mnie na starówkę spadamy.

Lublin, 1992

Nativa

byłem w tobie zanim
odemknęłaś powieki
ślepyimi jeszcze
półżrenicami
patrzyłaś mój świat

w wilgotnej dłoni
pachniałaś

kazałem w tobie zanim
wszeptowałaś w oddech
rwący zachłyst
pierwszej wody
ciepły świat

zmrożeniem potu
krzyczałaś

czekałem w tobie zanim
uniosłaś w puszkę
trzaskaniem wieczka
głaskania gładzią
markotną myśl

wyrodna córko
pandory.

Lublin, 1992

Prawo

odpoznaj mnie córko księżyc
na skraju łąki pełnej tabu
zachodzę w głowę bezwietrznym
deszczem spopielam trawy
wyrwane w chwili czułości

poznałem przestrzeń do ciebie
lekką stąpałem pył i kratery
okruchy wygasłych zwilżałem więc
dla mnie opalizujesz

zawyłabyś w ciemnościach
gdybym odwrócił się słońce
dokąd (?)

nie zmienia kosmosu
planeto zapachów

bukiecie ogrodów...

odpoznam cię
córko sinusoidy
pośrodku kwadr i pełni tabu
wierna tradycji pokoleń
rodzenia kochania migreny.

Lublin, 1992

Nowy

...jeszcze tak nie całowałeś jak teraz mną pięć centymetrów dywanu zacisnęłam
wszystkimi palcami zarazem na nozdrzach powiekach i zębach milionem
zetknięć za każdą chwilą stawałeś się lub jak teraz ciemnego na spacerze
zaciskałeś deszczu ubranie świeżo nasiąkłe i ciężkie wargi wargom obiecały
cicho z tego będzie...

wiersz

Lublin, 1992

Kraina cieni

w krainie cieni oprócz drzew
brakuje smaku wody czerni
czereśni gorącym lipcem
niedozbieranym szlaku tam
wymiarowy jedno jest świat

zapachem poezji bez zmięcia
upuszczony papier na zmęczenie
zeszłym rokiem upadłych nitek
w dywanie pisały zalotnie
tak pachnie nuda
przetop mnie na życie
w piecu twoich nerek
i wątroby wojownika

w krainie cieni oprócz nas
brakuje smaku krwi czerni
czereśni gorącym sierpniem
mocno przejrzałym szlaku tam
wymiarowy d w u jest świat

dotykem rzeźbisz granicę skał
przesunąć o cal o cal się cofa głaz
zeszłą epoką wypiętrzonych gór
wygórowane marzenia zbyt na
twoje palce szepcze kraj
nie przestań z czasem mówisz ty
drelować kosza moich wiśni

w krainie cieni oprócz drzwi
brakuje smaku chwil czerni
czereśni wrzosowym wrześniem
zapomnianym szlaku tam
wymiarowy wiele jest świat

nie wyjdę z ciebie ze mnie ty
wyjdiesz i ty i ty
wykarmione nasienie
wypieszczony gest

rozerwiemy zasłonę
my
i nasze dzieci.

Lublin, 1992

Z wysiłkiem

byłem z przyjacielem na wyprawie koleją
do odległego o godzinę jazdy i dwie marszu
widoku tysiąca drzew i tysiąca turzyc
spomiędzy trzech wierzb

przypomniałem sobie kiedy
widziałem ostatni raz
opadłe na pościel kasztany
i białe stopy brzoź
do oszalałych nagiąłem warg

pałłem ogień żywiczny i sosnowy
praprzodka bursztynu okułem
w węgle jak zaręczynowego
srebro pierścionka

podniosłem głowę
na kreskę i krzyk gęgawy
do szarego dziś nieba
między łąką a jeziorem
wyschłym i zrytym przez dziki

na ściętą mrozem trzcinę
chuchałem by w brudnej
kropli wody twoją
wywróżyć dobrą myśl:

w domofonie poznałam twój głos
wróciłeś z polowania
ubiłeś dla mnie zwierzyny płowej
i cytrynowych róż.

Lublin, 1992

Pojednanie

poczekam wykąpię się odgonię senność
zrobmy jakieś porządki i herbatę na noc
bo noc jest długa by nie nie zauważyć
tego czegoś od serc i czegoś od ciał

poczekaj wykąpię się pozmywaj naczynia
rozłóż łóżko noc jest długa i szepcze
uchylonym na czarno oknem by
nie nie zauważyć tego czegoś od nas.

Lublin, 1992

W dziedzińcu

patrzyłem trzy dęby bezszypułkowe
w dziedzińcu nad naturalnie wysokie i chude
wtedy przez okna dużego pokoju
nad głową dziesiątków ludzi
kolorowe były ich szczyty
dzisiaj opadłe prawie zupełnie
nie widać grabiących dozorców
zdążyli przed ósmą
o ósmej siedzę krawędź przestrzeni:
gawrony dwa dęby trzy
z jemiołą jak martwą źrenicą oka
na najwyższym na środku.

Lublin, 1992

surowe jest nasze kochanie
jak kora i pierwszy raz
i nieśmiertelność piasku
w klepsydrze przyływów i odpływów
surowe jak śmiech
jest dotknięcie ciała
jak woda kamień i kosmos

Lublin, 1993

Pejzaż miasteczka

Za oknami pana Bloku
rozciąga się nic czyli
pole żyta. Po wyjściu
przed klatkę znajomy
widok czyli sąsiad dalej
stoi ich jeszcze kilkunastu
szczęśliwych kilkutysięcznym
szczęściem blokowiska na księżycu
nie tu inaczej płynie czas
niż w innych rejonach galaktyki.
Widziałem zegar dworcowy
przez chwilę odgradzony szybą
brudnego pociągu z wolna
rozmażywał wskazówkę za wskazówką.
Dworcowe postacie wycięte
z grubego kartonu bardzo słabo
znały prawo grawitacji
upadały klatka za klatką
zwolnionego filmu w podmuchach
wiatru z piasku.
Może to wrażenie to tylko:
złudzenie południe środek lipca
koniec epoki pytajnik wspomnienie
porysowana skałą macierzystą
szklana płytką pamięci.

Brzeg, 1993

Na jawie

dwa ostatnie życzenia
przed rozstrzelaniem
papieros a potem wiersz
mówiłem w chwili świadomości
gdy kończył się mój świat
i kreowałem własną śmierć
to ona jest mocna

chciałbym tak umierać
bez strachu tego co było
i niespełnionych marzeń
o chwyceniu każdej pikosekundy
radosnego tworzenia życia
i namysłu rodzenia siebie
świadomy najpiękniejszej
z chwil każdej podróży
to jest jej końcu

a ciebie już nie chcę widzieć
bo zobaczę cię druga połowo
potem
przedtem zapewne będziemy razem
ale zobaczę cię choćby po małej
iluzji ale
potem

Gdynia, 1993

Tak jak

zielona śliwka
zmierzch na zatoce
bandera złożona w kostkę
jesteśmy bezpieczni
jedząc chleb parząc herbatę
mieszkając na poddaszu
studiując i kochając
jesteśmy bezpieczni
potem będzie ślub i wesele
wspaniale w przyszłości
po życzeniach i prezentach
wyjdziemy na dziką plażę
będzie gorący sierpień i poranek
do umebrowania cały dzień
i niewiele na początek:
zielona śliwka bandera w kostkę
zmierzch na zatoce srebrzystych lęków

Gdynia, 1993

List

Pracuję w knajpie różnica taka
że do szkoły można nie iść
do roboty trzeba. Brakuje mi dnia i żony
za dużo palę czas kradnie sam siebie:
dobry wieczór dobry to już tak późno
czyżby minęło się ze mną słońce...
Mieszkamy w bloku starego osiedla
pośród samotnych ludzi w podeszłym wieku
rodzin i młodego pokolenia
nie znamy zresztą sąsiadów jeszcze nie.
Pleciemy gniazdo pleciemy bzdurki
pijemy kawę kochamy się rozmawiamy kąpiemy
przed klatką śnieg i latarnia
zatrzaśnięte okiennice chrapią
by wstać o szóstej.
Czy wiesz asceto co znaczy samozaparcie
ale w sprawach ważniejszych niż doskonałość
ludzie wiedzą masz ich w dupie
wpatrzony w boga nieprawdziwego.

Lublin, 1993

tamte wieczory
to kraj zmęczenia
gdzie silne uczucia
jak osocze krwi
ponoszą gniew
i erytrocyty
słabe jak serce
niewidzianego kochanka
gorąco stygną ze śmiercią
podobne wszechświata
elementów nie stąd

teraz wieczory
błyskiem są świecy
i ćmą
koloru kości słoniowej
lub ciała
smaganego
przyspieszającym oddechem

wymięty korzeń
uschłego drzewa
to prześcieradło
na wydmie piachu:
nie obsuń się nie
niech przytrzymam cię
omdlałe kości
przytomną twarz

teraz wieczory to ćma
opalone skrzydła
zatopione w wosku.

Lublin, 1993

Utopionym marynarzom

na szkwał na mgłę
walczyłem z wiatrem
i wygrałem
na fok na kliwer na grot
na czas

na blask na głąb
na ziąb
walczyłem z wiatrem
i przegrałem
na głąb

ci z miasta nad wodą
piją moje zdrowie
za tych co na morzu
za tych co na morzu
zwiedzają dziką plażę
i bulwar z mewami
z rodziną ze wsi

na ziąb na głąb
przegrałem z wiatrem
na blask
na głąb

Lublin, 1994

Człowiek dumnie brzmi

Widziałem ludzi
naprawdę biednych
i dobrze zgarbionych
dłonie mieli
jak obite papierówki
paznokci nie dostrzegłem
ich zimowe trampki
ocieplane adidasy
koloru niebieskiego
parasola z wysypiska
możesz spotkać tych
co nie mają przyjaciół
wracają z baru mlecznego
z miasta
na ramieniu
pusto powisa im
żółta torba ze skaju
w nocy wyprowadzają
na spacer swoje psy
w okolicy śmietników
mogą wysikać się do woli
i pogonić koty
kiedy taszczą worek odpadków
z kuchni pobliskiego lokalu
udajemy
że się nie widzimy
żyjemy ze śmieci
ja je wynoszę.

Lublin, 1994

Po czasie

poeta - oddałem muzy kochankom
do rozbudzenia kobiety mężczyznom
świat stwarzam bo stwarzam - uboższy

nie zmieniam znaczeń, nie zrzucam
z pojęć rusztowań - pomniki
świat stwarza bo stwarza - ubogie

a dla umysłów pożywka - słów w formalinie

jak zwykle - gałęzie zderzają się z deszczem
i kwitnie - prostytutka

jak długo oszczędzać zamierzam papier
bez walki oddawać pola
ze sprzymierzoną armią ołówków
przejadać żelazne racje

poeta - jutro wyjadę na śmietnik nim zdążę
szybko bez mycia pod kołdrę nie zdążę
poprawić poduszki nim usnę aż umrę

bo jutro znów będzie jutro
coraz szybciej do końca

nie
niestety
tak

Gdynia, 1995

Na em

oczy to zwierzęta zaś
owoce to rośliny więc czemu
są słodkie jak czyny warg lub
cierpkie jak czyny rąk lub
odwrotnie więc czemu
fermentują jak kwaśny oddech
z kosza ludzkich nieludzkich możliwości
każdy w innym aromacie
ten sam cedwahapięćoha

więc czemu
są zdradliwe twoje wilcze jagody
jak pomieszanie z poplątaniem więc czemu
są zgniłe pociągiem do psucia

owoce to zwierzęta zaś
oczy to rośliny więc czemu
są słodkie i kwaśne i cierpkie
więc czemu
sączą atropinę aż do w konwulsji
rozszerzenia źrenic i wstrząsów korpusu
czemu uśmiech koca karczi żegnania
podobnie do płaczu liści usypiających śluz ślimaka
na białych krostkach upadłego jabłka więc czemu

zasypia świadomość
dojrzałej gruszki i owocnika muchomora
tak słodkich w zupie mojego umysłu
bez lukru
bez szansy na obronę

więc czemu
daję szansę suszonym śliwkom
suszona śliwko wyczekiwanej pestki

na schizoszlaku naturalnego pociągu
pomiędzy stacjami niedoprzeznaczenia

Gdynia, 1995

Geometryzacja życia

jeżeli lekko oszukać zbyt łatwo
to czerwone wino przyznaje się do winy
na poboczach tej samej ulicy
wykrzywia tablice drogowe
w tą lub tamtą inną lub inną stronę

nielekko oszukać zbyt łatwo
więc wino skwaśniało w piwnicy
na werandzie albo w szalecie miejskim

to półtora bizwiazku wpisane w ożywcze
trzy kreski trzy kąty dwuświadomej figury
małżeńskich trójkątów

Gdynia, 1995

Żono

na samotności we dwoje ból
szamanie lekarstwo mi podaj
zasyp do mazi kojącej kory i ziół
zatartych z tych wszystkich kwiatów
które uschły nie doczekawszy
wazonu z wodą

nie próbuj mnie nie
nie wystawiaj na odstrzał
pozwalając bym wychodził
na samotne spacery na pole
pod myśliwską ambonę
wczoraj zbudowaną
jak zwierzę o oczach z ogórków

nie czekaj że zostanę jeżeli nie wiem
że czekasz że zostanę

nie czekasz czy wiem

jeszcze chwila i umrę dla ciebie i na odwrót
nim umrę dla siebie
nie na odwrót.

Gdynia, 1996

Posucha

wiersze skapują jak krew z nosa
cztery na rok

nie brudzą zbyt
czystej i wyprasowanej chustki
porządnego obywatela republiki
wzoru społecznego i przykładu sukcesu
korzystającego skrzętnie z prawa do głosu
w chwili wolności przed urną
tylko wyborczą czy z własnymi prochami (?)

niech każdy sobie wskaże miejsce
szczerości

dla mnie szczerą jest śmierć
dobrze szczerą jest dobrym przyjacielem
chyba najlepszym
jeśli banalnie nie powiedzieć najwierniejszym

niech każdy to sobie wykoncypuje

wiersze skapują jak krew z nosa
jak zaduma nad przemijaniem
tym najważniejszym
najbliższych pięciu minut.

Gdynia, 1996

Pytania i odpowiedzi

kiedy napiszesz mi wiersz radosny?
kiedyś mi pisałeś...
kiedyś mnie kochałeś...
i mówiłeś do mnie: moje kochanie!
a nie żona, żona...

Gdynia, 1996

Realia realizmu

co poniektórzy sądzą że
nie ma większej poezji niż rzeczywistość
zgodnie z tym
całowanie to wymiana flory bakteryjnej
a słowo miłość nie posiada konotacji

Gdynia, 1996

Pasjans

sinus z życia kwadrat plus cosinus daje jedynekę
to samotność jedna sama sięga nadodważnie do
kasztanowych pieszczot twoich pięt bijących ciepłe powietrze
jak pianę po plaży po łące po igliwiu po rybobraniu

ta samotność to wyizolowana komórka na patelni
jak sadzone z mózgu co skwierczy na maśle westchnień
tym tłuszczu uczuć

a śmierć jak mocna ściana rozpędzona na ciebie
ty jajo w skorupie od samego początku w ciemnym łonie
do samego końca w zakrzepłej i zimnej krwi

kasztanowe pieszczoty kontra TV i nuda
czyli krajalnica do chleba w zurbanizowanym morzu
w hektolitrach słonych ścieków żalu i gorzkiej wody
za pięknym życiem nie w mieście

sinus z życia czasem pisze recytuje słucha tęskni
za pięknym życiem kamienia deszczu ognia raków

Gdynia, 1997

Atomowe dziecko

zdejmij bieliznę i stań nago
pod sznurem na stołku
rzeźbionym w lipowym drewnie
kunsztem żelaznego noża

sznur przecież drewno i żelazo
są bardziej twoje niż
algorytm fantazji komputerowej gry

Gdynia, 1997

Śpiączka

zmorzy cię sen jak taniec
w rytuale nocy
pośród plemiennych cieni
dokładnie drgających
w rytmie obrzędowych bębnów
chaotycznie skaczących
w wybuchach ognia
pianie ziskrzonego popiołu
morzu żywego ciepła

ogłuszy cię sen jak trans
zawirujesz wokół osi
mojej jak własnej
w palcach posłusznie
krnąbrnie w biodrach
koszu żywych krewetek
krabów i małży i innych
zakazanych owoców morza
ukrytych w jedwabiach zatoki

nie minie sen gdy dzień
wzejdzie nad wodą akwarelowo
bo uderzenie zadane już
strzałą rozcięło przestrzeń
za grubą szybą znalazł się świat
ryb w akwarium pracy i zakupów
a twoje ciało dyktandem słów
drzemie bezpiecznie i marzy sennie
za każdą kroplą krwiobiegu zegara
posłuszne skokom wskazówki

ukradnie cię sen jak złodziej
nie można uciec przed nocą
ni zburzyć okręgu gwiazd

powieki opadną i poddasz się
połkniesz oddech i z ust
zadrzysz i wydasz dźwięk
jak młody ptak na skraju gniazda
i butwiejących liści
przed pierwszym lotem
erotycznych wzniesień powietrznych prądów
poznania przestrzeni skał
ocienionych zaułków tajemnic

ten pocałunek złoży mrok
na twoim nagim ramieniu
i zadrzysz na zawsze
dla niego
w rytuale nocy
pośród plemiennych widm
drgający
w rytm obrzędowych bębnów
chaotyczny
w wybuchach ognia
pijanej czystości morza
więc śnij

Gdynia, 1997

Nie kłamię

na klifie na samej górze
nie słyszeć zatoki
smak chłodu nie pieści pięt
do zadrżenia ramion
że czas

tutaj drzemie
piach przywalony bukami
w liściach wariuje wino
zapijaczona jest pora roku
a twoje źrenice nieprzytomne

z dołu nie widać nas
ściana zapuściła korzenie
lianami okryty jest świat
żaden z kluczy na kole
nie otworzy kraty

tutaj nerki i wątroba
grają dłoniom i wargom
na cymbałach śmiechu
lutni zwierzeń
i partyturze pocałunków
sonatinę myśli

naśladową
rozpasanie zapachów
wariację blasków

glina miesza ściółkę
z krokami na ścieżce
wariuje wino w bukach
zapijaczona popołudnie
i te źrenice

na wpeł przytomne
Gdynia, 1997

Nocą

żar to żal
tytoń to rozstanie
na długo niedługo
za niedługo długo
drzewa są krzywe
latarnie są proste
bezczmurne jest niebo
deszcz zawisł w powietrzu
aby nie upaść
na starą nową drogę
ciężkimi kroplami

latarnie są proste
uliczne
deszcz wpół zawisł
drogi
małżeńskich powrotów
kroplami

Gdynia, 1997

San rzeka

wyżłobił cię potok
skalna kołysko zmij
macico pstrągów
ostatnia kąpieli wypchniętych
przed szereg roślin

stromo obcieka glina
murszeje buk
na niedostępnym
lewym brzegu
głaz pęka na prawym

a na środku stoisz ty
do pasa obrywa cię woda
ruchome są płaskie odłamy
nie można odezwać się do ciszy
nie ma do kogo

daleko do ściany
na prawym brzegu
nie bliżej do śliskiej na lewym
chwytasz zaparty o wodę kij
i masz jeszcze jedną nogę

Bieszczady, 1997

Złote Hory (Złote Góry)

maszynka do strzyżenia przestaje brzęczeć
na szyi i ramionach czuję uderzenia palców
strząsających włosy

z trudem otwieram oczy
gorące popołudnie się wdziera pod powieki
i staję się bardziej senny
ciche szuranie po deskach podłogi
błyszczące kosmyki włosów
brata Jarosława sandały
starych mebli zapach

dotykam dłonią
przepisowych siedmiu milimetrów
podnoszę się z krzesła chrząkam
wyjmuję szufelkę z rąk
on kiwa głową wychodzi
nie należy do tych
co z byle powodu
przerywają poobiednie milczenie

choć godzinę się zdrzemnąć
szybko spuszczam wodę w muszli
razem z włosami
rzucam się na materac
już w półśnie poluźniam na biodrach
pas skórzany
i mocniej na oczy naciągam
mniszy kaptur

gong jeden drugi trzeci...
cisza
się zwlekam
z materaca na kolana

nogi drżą słyszę
posapywania i jęki
czerwone oczy
Sławomira są błędne

zbiegamy po schodach drzwi białe
potykam się o krzesło
drugie drzwi białe chłód
naciągam na głowę czarny aksamit
kukulli efektownym wyćwiczonym
ruchem wyrzucam w powietrze
lekki materiał

chyba kogoś uderzyłem
uśmiecham się przepraszająco
jeszcze tylko sięgnięcie ręką po brewiarz
zrzucenie z głowy kaptura
i padam kolanami na słomianą matę

boże wejrzyj ku wspomnieniu memu...
intonuje Ludwik
czyni znak krzyża
chrząka słucha jak odpowiadamy

siadamy wstajemy kłaniamy się
jeden psalm drugi trzeci
czytanie fragmentu biblii

siadam wszyscy nieruchomieją
patrzę na duży drewniany krzyż
chyba się obudziłem
suchość w gardle zniknęła
wygodnie się tak siedzi nic nie robi
cisza ptaki zamilkły na chwilę
delektuje się mój umysł jest przytomny
nie chce spać

spadniesz z tego drzewa
Sławomir zadziera głowę

macha ręką odganiał much chmarę jakby
i odchodzi do swojej pracy

widzę jak podściela słomę owcom
dokładnie obserwuje barany trzy
jest gotów wyskoczyć z namiotu
w każdej chwili
przeskoczyć ogrodzenie ma rację

wiśnie są duże wiśniowe ciepłe
sok ścieka po palcach
kładę je do kosza
przywiązanego do pasa
na biodrach mi ciąży

patrzę na góry na południu
to Złote Hory po drugiej strony granicy.

1998, reminiscencje z klasztoru

Wisła rzeka zakręca

ręce kładę na parapet
chłodne twarde drewno
wciska się w rozmiękle
od potu dłonie

oczy otwieram
znany obrazek za oknem celi
wielebnego brata pozwala
przez chwilę zapomnieć

powietrze drga w południowym świetle
biała jak rozrzucone w trawie kości ścieżka
biegnie wierzchem grobli
moje oczy rozdrażnia

odwracam twarz
a rzeka zakręca u moich stóp klasztoru
słońce się od powierzchni odbija
znowu przymykam powieki

jest czerwono w oddali
wyczuwam pokryte lasem wzniesienie
a bliżej mur

wapienna konstrukcja porośla
skalnymi roślinami i winoroślą
sięgam ręką w głąb wnęki okiennej
opuszkami palców dotykam ciepłej cegły
stopy odrywają się od podłogi
w dół patrzę na czubek
głowy spacerującego wolno zakonnika

zeskakuję na deski podłogi
i patrzę na zegarek patrzę

idę zadzwonić na obiad mówię
stoję nadal w miejscu
patrzę na wielebnego brata czekam
czy jeszcze raz powie
że owoc nie spieszy się aby dojrzeć
a kwiat by zakwitnąć.

1998, reminiscencje z klasztoru

Miasto

usłyszałem w TV
że mury się sypią
ludzie starzeją
szyby wypadają
na warszawskiej pradze

zobaczyłem

1998

Europejska Kamasutra

miłość pokonuje różne stopnie intymności
ostatnim jest porcja anchois
w twoich moich ustach

1998

Praca wyzwala

przez wąskie okno w murze
w biurze
topole widzę
wysoka wyższa niż domy i smukła
samotnie rysuje przez wiatr szarpana
pętle gordyjskie na niebie

topole i błękit przez wąskie okno
w murze widzę
w biurze

daleko jest daleko
o dzielnicę dalej
jak palec u wyciągniętej dłoni
jak pióro

jak pióro
szarpana przez wiatr
topola gryzmoli esy po niebie
a niebo jak papier przyjmuje
wiersze smutki kabały
przepowiednie o wolności
przypowieści o zwykłych ludzkich losach

przez inne okno w murze
w biurze
noc widzę
ciemna ciemniejsza niż śmierć
po omacku plecie przez myśl szarpana
pętle gordyjskie na szyi

noc widzę przez okno inne
w murze widzę
w biurze

blisko jest blisko
jak palec i dłoń
jak pióro

noc jak pióro
szarpane przez papier
przez wiersze smutki kabały
przepowiednie przypowieści

przez inne okno w murze...

Gdynia, 1999

Endriaszowi

pod modrzewiem twój dom otoczony kwiatami
a przed nim ławeczka i piaskowa aleja
jak w na wsi jak w lesie na łonie przyrody

na cmentarzu twój modrzew pnie gałęzie wysoko
a dom nisko

1999

Cyprys to bas

kiedy wiatr w ogrodzie gra
czereśniowe skrzypce trąca
smyczkiem powoju
a noc uśpiła miasto pode mną
i telefony zamilkły
to wtedy
wsluchuję się w twój oddech
za drzwiami sypialni
i bicie swojego serca
w fotelu

to wtedy właśnie
szczypie pod powiekami
miło
i widzę minuty na zegarze

nie tak jak za dnia
kiedy godziny
wymijają się w pędzie
jak samochody na czteropasmówce
w szczycie
w centrum
wielkiego świata
i wielkich oczekiwań
od życia

a kiedy wszyscy śpią...

to wiatr w ogrodzie dmie
w trąbę orzecha
obój jabłoni
to wiatr w ogrodzie wali
w werbel traw
talerze agrestu

a zegar koncertu metronom
narzuca rytm
i sklepienie opery
jest z galaktyk

Gdynia, 2000

Noce

noce to beczka
po czerwonym wytrawnym gronowym
w której jak Diogenes
przepędzam mój czas

leżakuję bimber
ledwo destylowanych myśli
i powoli klaruje się whisky

na razie jest trzydziestoletnia
jeszcze trochę
a poczęstuję domowników i gości

po troszku będziemy smakować
aż spijemy się na umór
na śmierć

śmierć to beczka
po czerwonym wytrawnym gronowym
winie
krwi

Diogenesa
i tych innych
co w beczkach mieszkali

a krew mieli
z pełnym bukietem
aromatów

pij zatem
bo krótka jest chwila
gdy nie zostanie nic

Gdynia, 2000

Pokój z komputerem

Ożywam nad wieczorem
Kiedy widzę w szyby oknie
swoją postać akwarium pokoju
gdzie płaczą się fragmenty nocy
niczym zielsko wywalonych połączeń

tak nie kładę się i siedzę
w oczy palce wkładam
i powieki odrywam od siebie
a każde mrugnięcie jest mikrosnem
błogością odpoczynku
przezuciem regeneracji

to wtedy zjawia się koszmar
zaleknioną łąką
na której źdźbła macają się po omacku
ślepych palcami brak rytmu wystukując na sobie nawzajem
nieregularnie uczą się swoich twardości i miękkości

długo tak
aż przychodzi dzień
trawy układając w pokosy
schnące w prozaicznych promieniach
śmiertelnie w duchy godzącego słońca

długo tak
aż przychodzi noc
ożywia postacie w akwarium
gdzie płaczą się fragmenty istnień
niczym zielsko wywalonych połączeń

WWW, 08 października 2001

Na huśtawce z córką Julką

tataś...
ale się kręcę
tak się kręcę
taśtaś

patrz jaką mam długą rękę
już mi urosła jak cały świat

taś taś
zerwałam takie drzewo bez korzeni
popatrz teraz zasadzę
i wyrośnie taka wielka pokrzywa

weź taś taś ode mnie sweterek
bo mi się w zachodzie słońca
ciągle robi się ciepło

chodźmy już taś taś do domu
chodź taś taś nie zaraz
patrz ja sama idę

Gdynia, 2002

Mąż marnotrawny

całował się z wiedźmą
i nie spłonął
igrał z ogniem i
zachował świadomość
ocalał łudząc się, że
opanował moce
i trwa
a został oszczędzony...

2002

W podróży

Kilka tysięcy kilometrów
w lewo lub w prawo
w górę lub w dół
to inny świat od każdego
dnia mojego dnia
nie wędrowczego ja

Kilka dziesiątek milimetrów
w głąb pod naskórek
w tkanki i kościec
to mój świat dla każdego
dnia mojego dnia
na wpół świadomego ja

Daleko od domu
w lewo lub w prawo
w górę lub w dół
to obcy jest świat
krwi mojej krwi
tętent żył z niej drwi

Blisko do siebie
w tęsknotę w łaknienie
w rozgardiasz i kram
to nie mój jest świat
cykuty mej cykuty
czyż odwracalnej pokuty?

Ląd jest pielgrzymem
mieszając stopami proch
człowieka na wpół
zwierzęcia na wpół
błąd goni błąd
spalonych wiosek swąd

Indiańska to rzecz
rozumieć tak iść
że wędruje grunt
a pątnik w miejscu tkwi
stopa za stopą
obracając krainą jak kopą

Mój dom to ty
i nasze córki
bez was martwieję
bez was uciekam
czas goni czas
pikowy as głosi pas

A z wami ikona
i święty jest cel
jak sanktuarium
jak obóz przetrwania
czas ratuje czas
trzyście lew w sam raz

gdy życie to brydż
licytacja to raz
rozgrywka to dwa
a trzy to partia
miłości rober miłości
buduje kośćca kości

no jak powiedzieć wprost
że w podróż biorąc sakwę
to w trzos co najcenniejsze
nie zapomnieć wziąć
tą jedyną tę
rodzinną monetę

Jekaterinburg, czerwiec 2006

Świt hotelową nocą

Świt hotelową nocą
zawładnął niczym monarcha
za późno by spać
za wcześniej by wstać
w okolicach dworca
uralskiego Jekaterinburga
azjatyckiego miasta
wielkością piątego w Rosji

Co ja tu robię
4 godziny od domu na wschód
względem Greenwich

Wdycham spaliny wołg
Moje oczy są zbyt małe
by objąć beton i szkło
cegły i żelazo
złoto i kamień
stare i nowe
kulturę gruzy i centra
zasłonięte tysiącami drutów
zwisających nad ulicami
oni dopiero będą zakopywać
dojrzewają do światłowodów

Ludzie zupełnie jak w Moskwie
tylko na mniejszą skalę
przypominają marionetki
w monumentalnej scenerii
teatralne kukły
kobiety upstrzone fatalaszkami
skrojonymi na miarę
w szpileczkach w modnych laczkach
róż błękit beż

faceci z fabryki
czarne rozczłapane buty
czarne zbyt luźne spodnie
przykryte białą koszulę
luźny kołnierzyk krótki rękawek
obcięte czarne włosy
opalona skóra

Wszystko mnie drażni
wszystko przeszkadza
nie mogę spać hotelową nocą
w okolicach dworca
uralskiego Jekaterinburgu
azjatyckiego miasta
wielkością piątego w Rosji

Jekaterinburg, czerwiec 2006

W domu

za oknem las
za biurkiem ty
im dalej w noc
tym cofa się czas

piękny mamy dom
powtarzasz ty
powtarzam ja
z cudownym ogrodem

ciężko pracowaliśmy
szczęście nam sprzyja
tak nie ponad miarę
tak w sam raz

wspaniałe mamy córki
zdrowie dopisuje tymczasem
wszystko jak w kraju
kwitnącej wiśni

czasem tylko sielankę
spowija dym
wad ułomności
niepokoju o

to czy nie za dużo
za spokojnie
zbyt szybko
zbliża się kres

siedmiu krów tłustych
na rzeź
hioba nie wezwie
ten który czy jest?

jeśli jest to niechybnie
upomni się
tak czy inaczej i oby
na ostatnim łożu

gdzie monet chłodu
powieki me
nie rozgrzeją
nie zrzucą

oby tak
a nie inaczej
a któż to wie
bo któż to wie

co zepsuć się da
kto czai się
w ciemności za rogiem
by zadać ból

bo wokół jest on
pan bieda i ona
pani ubóstwo
ze wzrokiem w dół

a tu
jest cudny dom
z pięknym ogrodem
i ty i córki

a tu jestem ja
jeszcze sprawny
przytomny
oczekujący

na wszechświat co
materii tę część
co mu zabrałem

gotowy wziąć

ludziska patrzą
na gwiazdy i marzą
a one tuż
zabiorą nas

nim nastanie świt
czy nastanie świt?
któż to wie
czy jest ten co wie

Gdynia, wrzesień 2006

Galindia

październik rozciągnął włosy
miedzią i słomą po jeziorze
w trzcinie wiatr ptasie gniazdo
cmoka zgłuszoną falą od dna
kołysankę dygocze chociaż
dawno woda już śpi

o czwartej nad ranem
na galindyjskim tarasie
olbrzymia jest cisza
większa niż karpia mlask
w przewrót na myśliwski strzał
niż kuny atak spod strzechy

w zasłonę zawinął się
światła rozkołysany snop
na moment zastygnął
skracając perspektywę
i tak się właśnie maskuję
schowany zań
na galindyjskim posłaniu
tuż przed snem

a za oknem o krok
liściasty taras jest
i lin i siatek bariera
trzciniany jeziora
odbity od nieba blask
maskuje cienie maskuje
pradawnych rzeźb
po dzikim półwyspie sunących
w skrzętnie ukrytym spacerze
pośród mazurskich dróg

Iznota, październik 2006

Stań

ćma mieli powietrza krople i grunt
zmienia realność obraca światy
w kierunku światła w tarczę płomienia

w promieniach ciepła w strugach oskomy
ogrzewa odwłok spalając skrzydła
zwęglając czułki popieląc mech

granicą kosmosu w pustyni czasu
bawiąc się setnie umiera żywo
naturą rzeki rzeczy zastygłą

heraklitejski porządek zmień
powtórz od nowa we wcieleń cyklu
to co już było i będzie i jest

Gdynia, październik 2006

Iść

w takt stoi ziemia sprzecznością
w swej geo- grafii i logii
zawiła i pogmatwana
bo jak pogodzić połączyć
lód z lawą dzień z mrokiem

trzęsie się ziemia goreje
na kamień zamarza w tej chwili
w otchłannej szczelinie ciśnieniem
gnie głązy ciskając osoczem
kwarc mieląc wydusza wyziewy

stygnie z dymu klarując parę
błękit z soli zdzierając do skóry
pola tworzy zmarzliny
z oceanu rzeźbione
w wielkim mrozie ukute

olbrzymią falą uderza
topi rafy i wyspy
życia ślad wyrównuje
odciśnięty na wydmie wśród turzyc
ruchomego piasku czepiony

kontradykcji wyrazić nie sposób
antynomii opisać nie można
że się rusza w wulkanie
i w lodowcu zastyga
wody kula i gazów

wizję kręcąc na modłę dalego
do dzieła ruszają lodowce
podmywają wulkanów podstawę
coraz szybciej i równo sunących

przez odmęty szukając palcami

zadurzone są góry w snop iskier
bazalt ściera morskie przestrzenie
odradzając się z magmy w swej drodze
centymetry wiekami skracają
horyzontu wzrokiem zbełtanym

tak się feniks z popiołu odradza
ciepłem żaru powity do życia
płodu oddech u wyjścia na światło
rwąc i krztusząc się chłodnym powietrzem
gęziej skóry dostaje od świata
Gdynia, październik 2006

Doktor

lecząc umysły poprawiać ciało
w dobrej kondycji zostawiać im
zwykłego z krwi i kości
marnotrawnego syna

zliż swoje rany i siebie lecz
filozoficznej koncepcji złóż
szkic na ofiarnym stole
w mądrości eremie w kaplicy

bo czystość w wodzie przegląda się
a w winie prawda lecz w winie łyż
kroplami w wargach drżącymi
spływają kielichem cykuty

zapomnieć rozum zatracić się
nad dionizyjską rzeką
i zasiać z wędką lub siecią złów
srebrnych i złotych monet

ochoczo nimfy obmyją trud
z karku ze stóp ze skroni
wonnym olejkiem z dodatkiem ziół
nasączą skórę i włosy

czy można tam powrócić tu
gdzie stron tysiące dziełami są
pobierać myśli pokajać w proch
to czego nie ma w głowie

uzbierać słów naręcze i
wybrzmieniem zalać teren
w powodzi nurt już góry brną
po pas po pierś po szyję

pokonać dystans utopić się
śmierć czeka tuż za rogiem
seneki myśl: oszczędzaj łzy
cierpienie cierpienie cierpienie

Gdynia, listopad 2006

Ptak wije gniazdo

żdźbła zbiera żwawo furkotem brzmi
na skraju lasu w krainie snu
ulęga tkliwie kwiecony kosz
ziołami przypraw zapachem

owada odwłok zostaje w nim
chwycony mocnym dziobem
nakarmić siły życiowe wzmóc
na plenerowym stole

bo jak tłumaczyć jak jabłko jeść
w poprzek od reszty ludzi
ogonek w palcach zostawić im
by pestki wstrzyknąć w trzewia

ptak wije gniazdo zamyka drzwi
okiennic trzask i płotu cień
ukrytych istnień ukrywa sens
zakleja śliną szpary

Gdynia, listopad 2006

Z pola

paruje czarnoziem tak w chłodnym powietrzu
nie w wietrze nie w prądzie ma dreszcze ma ciarki

cukrowe buraki na kopę zsypane
białymi zębami mgłę gryzą kąśliwie

dojrzałe w korzeniu odcięte od życia
wyrwane z macicy czekają na przewóz

na polu usłane jak pierś rozrzucona
pokrzywką zachęca by ptak jaki usiadł

podziobać do miąższu wyszaleć swym dziobem
na pracy owocu zostawić swe znaki

zeskoczyć na glebę wycisnąć ciepłość
zanurzyć trójszpony w rannego otarciu

zorane są działka aż krew zbrązowiała
w potoku posoki wysycha próchnicą

rolnicy zastygli zamarli swej roli
odgrywać już nie chcą odkrywać nie pora

zostawić na zimę to pole oddychać
ma w śniegu zorane czekając na bronę

ziemista jest gleba jak twarz o świtaniu
bez snu bez spoczynku zastygła w napięciu

nocami się skrada za dnia nieprzytomna
do słońca zwrócona odbija jak księżyc

przejmuje energię podnosi wigoru

potencję tę sprawczą w tym cyklu pokutnym

na nowiu na pełni rozjaśnia po zmierzchu
gdy dziki chcą hasać bez tchu i pamięci

szukając buraka co został w ukryciu
zapachem przywabiać i wonią je ściągać

w listopad jechałem przez sioło gdzieś polskie
przez płaski brzuch kraju przez łono ojczyzny

zsunęły się góry zostały poza mną
sutkami swoimi rysując nieboskłon

zastygłem w zadumie nad wsi krajobrazem
nad niwy swojskością nad moim marzeniem

i pługiem chcąc zasiać pod skórę właściwą
się wepchnąć pozostać z naskórkiem nie odejść

się zaprzeć stopami i unieść ramiona
otarcia na łokciach wycharczeć szaleńczo

pozostać tu zawsze przez chwilę myślałem
utkwilo mi w mózgu jak drzazga w obrazie

sekundę to trwało bo szosa mnie zwiódła
że cel gdzieś jest inny w sąsiednim kosmosie

Gdynia, listopad 2006

Las

za oknem cień
świerkowych wierzchołków zarys
na szafirowym nieba tle

nie widać co
kryją przyziemne konary
na spacerowej przecince

pagórki te
i nagość wzgórz i gołość wydm
biustonosz z liści obnażył

w dolinie staw
wilgotną rzęsą przez wiatr
zadaje kręgi na wodzie

zanurzyć się
osaczyć udami głowę
i tak rozmowy uciąć tok

odpalić huk
i zabrać w śrutówki ogień
fukot kaczych odlotów

pod skórą stać
gdy noc ze świtem w polo gra
cały następny dzień tam tkwić

ujarźmić sen
w zapachów krwioobieg się wpiąć
zawładnąć zmysłów nozdrzami

za oknem cień
świerkowych wierzchołków zarys

na szafirowym nieba tle

przed oknem dom
ozdobnych lamp i kafli grom
w drewno z afryki uderza

a w domu ty
naczynia łóżka i szafy
króliczy tupot na strychu

a w tobie ja
poukładany na półce
wchłaniam twój spokój lampkami

upijam się
objąć całokształt w źrenicach
do wyrównania ciśnienia

układam się
w kłębek na dziecka dywanie
zasnąć jak strażnik na wieży

pod wierzą smok
baczy na drzwi a oknem zmierzch
pilnuje wnętrze i trzewia

mroczności zmysł
sięga milowych butami
granic galaktyk siedmioma

za oknem cień
świerkowych wierzchołków zarys
na szafirowym nieba tle

Gdynia, listopad 2006

Koncert Pana Leszka

czarnego fortepianu żuk
chityną stabilizuje
fal mechanicznych przestrzenie

na gęstym bordowym na tle
na klawiszach Kułakowski
opiera się to odpycha

trzepotem palców próbując
niczym koliber utrzymać
kielichy płochych pożądań

i silnych potrzeb kwiatami
nie widać już dłoni zanikły
jest czarny but na pedale

dalej kontrabasu próchno
nieco rzadszym bordowym tłem
smyrga po strunach zdolny syn

czeka na ojca sygnały
sobie popuścić wodzy by
rozpuścić widownię w

kobiecym kształcie tam i tym
wziętym od tyłu stanowczo
pieszczonym czule od przodu

mruczącej spełnienia jazzu
z rezonansowych otworów
wilgotnych kapiącym potem

Hendersona pogięty mat
trąbki przeszytej kordonkiem

dystyngowany gustu pan

i ten talerzy Pelca błysk
wypalają niebieski cień
na dywanie w moją stronę

dopełniają ćwiartki koła
tych animuszu dźwięków tych
fruwającej partytury

spełnienia kwartetu aplauzu
widowni zadowolenia
solo akcentują ciszę

Kułakowskiego koncert
na scenie teatru w Gdyni
rozjątrzył złagodził

i wspólne zdjęcie przy żuku
i dedykację na płycie
nieznanemu zostawił mi

nietrwały trwalszej sztuki ślad
rozgrzebującej struną
zwiewną uniesienia fastrygę

Gdynia, Listopad 2006

Tatuaż

Pod powiekami tatuaż
wytatuowany jest świat
zatrzymał kilka obrazów
zapachów i smaków ślad

Przymknięte powieki nocą
te cienie wydobywają
pisane tuszem i igłą
na nowo się nakłuwają

Pod powiekami żyłkami
dramacik krwisty przepływa
zadrzały na rzęsach łzy
w senniku opisu snu nie ma

Przymknięte powieki za dnia
mikrosekundy mrugnięcia
wołają te same obrazy
tatuażowego zaklęcia

Gdynia, Marzec 2007

Poprzed

Po trzydziestce przed czterdziestką
czas przyspiesza czas przynagla
chwycić oddech złapać przestrzeń
wyrwać światu część należną

wyrwać światu co nie nasze
zabrać czego nie urodzić
kreowane przez gdzie indziej
zdobyć poczuć połyskiwać

trzy trzy cztery pięć sześć siedem
kurczą się odległościami
kontynenty coraz bliżej
na się z mocą nastawają

podróżować porty zwiedzać
na pustyni kwiat zasadzić
oceanu ogrom przespać
bezprytomnie zachorować

w miejscu usiąść kawą dłonie
ogrzać przez porcelanową
filizankę galaktykę
gwiazdo moich zbiorów łowów

orion widać nie dość syty
przed czterdziestką po trzydziestce
rozszała sfera wyżłów
goni zwierza przed człowiekiem

na tarasie w ogród patrząc
fotel mości się wygodnie
zdrzemnąć zmysły urwać dłonie

złupić oczy węch zostawić

wiatru dotyk posmakować
ten od morza w góry wpuścić
sztormem halny rozbujany
po trzydziestce przed czterdziestką

Gdynia, Kwiecień 2007

Pasja

wścibstwo swe kręgi zacieśnia
podłość siepacze kreują
topory dzierżąc nad głową

nie widać ostrzy berdyszy
w południu ostrym oślepia
biel rękawiczek na drzewcu

szczerząc stalowe uśmiechy
napaść ostatnią gotują
osaczyć zwierzę w połodze

miesiące śledztwa gromadzić
pochylić łby nad mapami
skrętnie notując zdarzenia

zagony czyniąc wypadu
wyżłów głupawych używać
zaszczuć zwierzynę na bagnach

pole pokryte trupami
ofiary kryje stos ścierywa
ostatnie tchnienie zdusiwszy

a pochyl że się nad grobem
mogiłą z palca grzebaną
czerwone krwią są paznokcie

nie widać dna dziury w placu
nie widać jądra ziemskiego
nie widać tak jest daleko

moralni halabardnicy

triumfują całopaleniem
kurhanu wznosząc świątynię

ciszą zaścielił krajobraz
ból sam spopielił co tliło
nie będzie z martwych powstania

w kostnicy rząd prześcieradeł
na palcach stóp odsyłacze
niemi tragedii świadkowie

nikt nie zapłacze nad trumną
wesołe lampki na urnie
goście zapalą po stypie

weseli będą z awansu
z rozbicia młotem diamentu
niełatwa przecie to sztuka

a życie kruchym klejnotem
kafarem w pył lotny bitym
rozwianym w pole zmarzliny

nie wyda to ziarno plonu
skute lodowcem południa
gdzie noc polarna i sroga

słońce stanęło w swym biegu
spętane gdzieś w innym świecie
piłata palcem sądzone

i tak się kończy bajeczka
kot się przeciąga leniwie
dzieci bezpieczne spać idą

Andersen smutek okiełzna
przemieni zmyślnie nieszczęście
dramatu w kolorowanke

zapomni świat co się działo
nie warta spisu historia
łzy wsiąkną i wyparują

potoczy koło miażdżące
na wozie wiezie pyszałków
groszami nakładź sakiewki

bo Nietzsche już przepowiedział
choćbyś swą mądrość na rynku
dzwonami dźwięcznie wydzwaniał

kramarz zagłuszy ją prędko
w gawiedzi ciekawskiej oblicze
dźwiękiem miedziaków stukotu

Gdynia, Czerwiec 2007

Tren

cisza zapadła martwotą
w pogodę okrutnie bezwietrzną
żagle opadły na wantach

łódź jest zaklęta na rłęci
plamie rozlanej na stole
termometr pęklł od wyziewu

dobyły go dwa bazyliżki
skrytą prowadząc rozmowę
knując plan spisku małego

wichura zgasła w sekundzie
opadły liny napięte
kabestan stracił zajęcie

sztorm oceanu zgłuszili
by dobyć skarby z dna mułu
perłami wypełnić trzewia

cieszą się ciszą zapadłą
sukces świętują strategii
swe wychwalają zwycięstwo

nic to że okręt w pół drogi
stanął równika się chwycił
próżno czekają na brzegu

szkorbut wyniszcza organizm
bez słodkiej wody mdlejący
relingu brzytwy się chwyta

tak tonie łajba próchniejąc
dno ściele skarby nowymi

ku bazyliżków radości

bo gdzie jest skarb i srebrniki
tam serce ludzkie wyrwane
zeżrą z radością wojowie

nachłęczą soku z tętnicy
nacieszą krwią usta oczy
sycą widokiem padliny

nie skończą walki do zmierzchu
narkotyk zmysły pobudza
adrenaliną kęsane

po zmierzchu w głuszy zapadłej
bezgłośnie łkanie wybrzmiało
że pyrrusowe zwycięstwo

Gdynia, Czerwiec 2007

Skrzyżowanie

pod dębem spotkały się drogi
biografie wśród pól skrzyżowały
świadkami zagony i łany

przykryły więc ze wsi nie widać
zagrody po której wspomnienie
tuż obok dogasa ogarek

bluszcz knotem chaszczami zmierzwiony
pochylił się sad ze starości
czereśnia nie wyższa od płotu

tu walczą meandry żywotów
by krzyż na rozstaju ustawić
pył ścieżki podnosić z profanum

pod dębem wędrowiec spowolnił
o konar się wsparł swym ramieniem
z gałęzią zaplatać palcami

korować i łyko obnażyć
rozniecić tym srebrny trybularz
okadzić świątynię bursztynem

zwęglony jak skóra czarnoziem
popieli się trawa bez deszczu
wilgoci pragnienie się łuszczy

kolorem krajobraz nasycą
pergamin spod pędzla rozbryzga
akwarel rozciągnąć barwniki

zaplemnić nim wschód kontra zachód
horyzont zagina widnokrąg

poroni nim oddech zachłyśnie

pod dębem zastały się dukty
śród pól się otarły przeżycia
rozejdą się w ciszę owadów

przemierzają glob wody i lądu
do głębi zanurzają ciśnienie
rozrzedzą górami powietrze

okrążają świat wzdłuż równika
najdłuższą z możliwych tras przebrną
by spotkać się znowu pod dębem

Gdynia, Lipiec 2007

Oswajanie śmierci

trwożą się ludzie konania
ból u lękają cierpienia
strachają zgrozy GEHENNY

duszenia wewnętrznych wylewów
ciała szarpania i cięcia
żywiół bestii w człowieku

być może ich uspokoję
że nasza biologia obroną
drogą ucieczki konstrukcja

utracą świadomość nim zgasną
zapadną w sen nieprzytomnym
adrenaliny zastrzykiem

zniekształci się postrzeganie
zapomną gdzie są i kiedy
umysł amnezja odurzy

organizm da odczuć co zmogą
i pęknie struna przepięta
nerwu mieliny materia

ludzie się śmierci się boją
tego co potem lękają
strachają się trwogi NIEBYCIA

pustkowie ich mrozi przeraża
co będzie naiwnie pytają
spijają odpowiedź z ust cwanych

ołtarze budują przebłagać
opłacić wykupić przeżycie

mamoną chcą wszechświat nicować

oderwać księżycy od planet
planety od słońca galaktyk
nieznanych strumienie zakrzywiać

darami z jedzenia i picia
dym wznosząc kadzidłem omamić
błyskaniem monety i brzękiem

do bóstwa zniżają umysły
talizman ściskając palcami
krzyżyki całując spocone

do siebie gadają bełkocą
języki modlitwą spętane
ścieśniają horyzont świadomy

oswajać śmierć w dymie ukrytą
całopalenia tłuszcz skwierczy
ołtarza marmury przebarwia

pyszałków korowód pociesza
umysły pogrąża w żałobie
sakiewki sięgając dyskretnie

nie mogę ich uspokoić
mój głos nie przebije strumienia
religijnego obrzędu

słusznie mi nie uwierzą
że tam nic nie ma w zaświatach
bo wiedzą, że stamtąd nie jestem

nie byłem nie jestem prorokiem
ot kontemplator poeta
życia krótkiego świadomy

piszący w ułamku sekundy

na papier przelewam atrament
co spłonie w wybuchu gwiazdowym

Chania (Kreta), szpital, po udarze mózgu, sierpień 2007

Powtórki

dotaczają się koła
domykają się kręgi
z paznokci poukładane

włosami pozaplatają
dziecięce warkocze
z siwymi starczymi

ze sznurów układać widnokrąg
posłania wypukłość globalną
na pryczę zamienić więzienną

nie sposób próbami żadnymi
poskromić wrażliwość żywiołu
przyrodę bydlęcia w człowieku

zza siatki kompanów pilniki
podane w sam raz gdy znudzenie
więziennej strawy przesytu

pomocni kamraci patynę
rdzę pousuwać z kratownic
stalowe wiązania zniweczyć

bo szybko przemija dzieciństwo
dojrzałość nie wszystkim pozwoli
starości smakować powagę

a ludzie się zmieniać nie spieszą
te same posuchy gracują
flirtami kochanie zdradzają

obcinam paznokcie po stokroć
odrastać pozwalam pazurom

tygrysim schowane zwyczajem

po cichu poruszam łapami
do skoku się czaję w gęstwinę
horyzont śmiertelnych ciemności

węch słuch wytężam by dostrzec
kotary rewersu awersy
frontony tych skrytych poszeptów

na próżno odwikłać się szarpie
banalny epilog i morał
niweczy pisanie natchnienia

bo gdy kodować przestanę
wystukam alfabet jestestwa
ramiona szyfranci opuszczą

doholują się kręgi
doturlają się koła

Gdynia, grudzień 2007

Pytania

narysuję myszkę wiesz mammo
on ma oczka ma nosek
biedroneczka mammo wiesz mammo
on ma rączki ma głowę

a teraz narysuję słońce
słoneczko teraz narysuję
narysowałam kwiata słoneczko
mam przyjemne słoneczko

a gdzie jest tatuś jest mammo
czemu nie ma tatusia
a kiedy tatuś przyjedzie
on się ze mną pobawi

pooglądamy wideo
pyszną zupkę mu zrobię
ugotuję ja sama
tak ja sama gotuję

ciocię puszek włoskami
jemu zrobię na głowie
jak dziadziusiowi
zrobię mu czuprynkę

a wiesz mama
ja potrafię mówić eff
mama ale ja też miałam
pomalowane paznokietki

Gdynia, 2008

Przedrok

grudzień przysypał dzień
zwęglił wieczór
w noc ugodził nóż

nasienia wzór
zastygł nim rozmowy
wybrzmiał krzyk

zaangażowany wiersz
poezję zaprzęga
w ideologii kłam

a ja szyfruję chwile
jak ta
gdy nie ja

bo grudzień zastygł
w zmarzliny kłós
co kłuje firmament i mózg

Gdynia, 2008

Czytanie

słońca zaćmienie księżycem
zaciska na szyi palce
nadgarstki zaplata w warkocz
siniaków ślady zostawia
nie widać ciemność zapadła

słońca zaćmienie księżycem
ołowiane i jasne strony
czyta jak z podręcznika
siebie samej wykładu
passusem nie jest w pustkowiu

słońca zaćmienie księżycem
trwa mikrosekund momentem
rozciąga rozkosz w godziny
oderwać się niepodobna
ku śmierci czeka dojrzałość

słońca zaćmienie księżycem
pokrywa pył proch obornika
ziemskiego laboratorium
próbówek pełnych rozkładu
zepsucia gnicia gangreny

słońca zaćmienie księżycem
radości czyta przejawy
kląskania stworzeń na wierzy
fiuczenia złąknionych prawdy
w krzyku otwartym ustami

Gdynia, 2008

Święta

popatrz tata
jak się kiedyś napracowałam
takie ozdobienia na choinkę

ja się naszykowałam
na następne święta
popatrz jak pofarbowane

jakie sama wymyśliłam
takie kropeczki
malunki takie

miałam roboty
a się wypociłam
wiesz tata

Gdynia, 2008

Gryzmołę

gryzmołem żałosny żywot
na bank wyciągu rewersie
w poprzek szarym drukom
spisany zanim czterdzieści

żałosny żywot upływa
po rozlewiskach markotnych
odsącza glebę pożywki
dla myśli skrytej w nasieniu

żałosny żywot kiełkować
w skwar suszy potop kataklizm
nie powiedzianych namysłów
braku koncepcji polotu

przebłyskiem żałosny żywot
wiersza jednego gryzmoła
strzępów świadomych kosmosu
wyimków z muzyki wszechświata

bo sfery pitagorejskie
się proszą i sypią konstrukcje
teorematów śmiało wysnutych
gdy żywot żałosny gryzmołę

Gdynia, 2009

Ego

słyszałem wielokroć czytałem
najbardziej egoistycznym typem
jakiego spotkała w życiu typ

taki czy jestem ocenia
mnie bliski świat mnie
rodziny kobiet przyjaciół

życie to życie potwierdza
dałem wam tyle z siebie
wciąż mało wy chcecie

co inne was grzeje nie ja
wasze wyobrażenie mnie
drogą jest dla was i światłem

pytanie co wilk człowiekowi
wilkiem jest dla dobra
a co dla zła

Hobbes uznał że motor
rozwoju jest w tym
ludzkości postępu kreacji

społeczność buduje normami
trybiki tłokami paliwem
napełnia zbiorniki krwią

za mało wam dałem się
nie tak nie tak jak
inaczej chcecie mnie

egoistą jestem bo nie
chcę rozpuścić się dać

w herbatce wyobrażeń

o mnie i wypić do dna
do cna do zniknięcia
w maszynie motorze

i nie chodzi o la mettrie
człowieka maszynę
czy mrowisko neodarwinizmu

przeczytajcie co ja
poznawajcie świat a ocenę
zostawcie bogu czy jest

Gdynia, 2009

Ssy

[23:13:47]

fale stygną na morzu
zaczynamy dotykać
chęć zapomnieć
chwile wszystkie
gdy nie ty i nie ja

[23:13:48]

lawą brzuszy ocean
gniewu trzewia patrosząc
parujących wnętrzości
zapach flaków pamięta
gdy nie ty i nie ja

[23:13:49]

parujące jeziora
z braku źródeł podskórnych
bagien odsącz szuwary
roślin gnicie nozdrzami
czuj gdy stukot

[23:13:50]

obcasowo głowy obraca
labutina chuci obcesy
wielu źródeł chwilowych
wzwodów oczu czołowych
płatów rdzenia kręgami

[23:13:51]

czuj gdy stukot wystuka
brak przy boku ramienia
sklepu wózek to czy
dla kaleki podparcie
bo połowa istoty

[23:13:52]

pisać wiersze ukucia
rzeźby tworzą wyznania
miłości
pragnienia
kochania

Gdynia, 2011

Kardiologio

leczysz mą próżność
młodości w dojrzałym umyśle
balsamujesz chucie

konserwujesz mą zdolność
zmieniania motywów
przewodnych psów zaprzęgami

sprawiasz dojrzałość do rady
starszyny plemiennej
kosztorysowania

specjalistka od wątroby i nerek
kardiologia pierwszego stopnia
na wizytówce linii masz opis

życia papilarnych
bruzd mózgowych
wad ograniczeń

Gdynia, 2011

Podtytuł

dzieliły nas kwadryliony milimetrów
przemierzaliśmy je każdego dnia
skóra pod skórą na posterunku trwa

teraz mi gotujesz całymi nocami
wyłazisz ze skóry spod skóry za dnia
moja uwaga na posterunku zasypia

miłości na odległość szaleństwa
rozbijały ogrodową ławę
codzienną rozlewają kawę

nie dzielą nas odległości
ograniczenia przerażają
palczków zdrewniałych ściskają

Gdynia, 2011

Hi Q wieczoru

pożar słońca
w porannym ogrodzie
zwęglił gałęzie na ścianie

Gdynia, 2011

Kolejarz

prze kła dnia da dudu
zwrotni ce raz tu raz tam
raz to raz tu raz tam
podług rozkładu du du

i papierosowym dymem
przesiąknięta gabardyna
pożółkłymi palcami
się zapina rozpina

dni to wiersze w tabeli
odjazdów przyjazdów
wyblaknięte czcionki
nie mają znaczenia

nie zadziera tłum głowy
prawie pusty ten peron
żona i syn kolejarzem
jak tata chce być

Gdynia, 2012

Kochanek

wciąga kreskę
co dzień gdy noc
naskórka stóp
kruszonki rzęs

popiołu starć
zaschniętych płynów
polaryzuje
dipola płataninę

oddech zasupła
popuści krew
w obieg niebiańskich
grawitacją ciał

nim zaśnie pot
nie odchodź więc
gdy kolan zew
migdalenia ud

Gdynia, 2012

Córka

widzę przez powiek
niedotrzaśniętą zbroję

podskoków taniec
na oddechu głos
zabawki w kąta tata
na kolana na kolana chcę

sama się boisz spać
więc schowam nas
wonią blond główki
ukoję spraw stres

i łzę nawilżę niemożny
kożuch wzruszenia
bo zatrzymać chcę czas
zasypiania by wstać

mignęło to w hormonów rój
dziewcząt chłopaków
płasanie kokieterii
w treningu sił

obciachem jest
z papą rozmowa
gdy lotnych przyjaciół
zacieśnia krąg

usuwam się
poznajesz świat
przez wściekłość
zarżenia śmiech

na moment tu

powrócić choć
by nekrologu
zestawić wers

nim zarygluję twarz
pozasuwam sztaby
zabiję okiennice
na amen

Gdynia, 2012

Kobieta

ileż to lat minęło ci
na kontemplacji
stąpienia każdego kroku
pomiędzy kątami domu
w trójkącie ulic
sklepu szkoły podwórka

zauważałaś to
niepostrzeżenie
wygładzając kąciki twarzy
wodząc opuszkami po lustrze

nie minęło nic
z pierwotnego pragnienia
ognia płonie wciąż chęć
porwania bycia na koniu
uprowadzoną w dal

tam gdzie tradycyjny
paleniska ruszt czeka
na drżących palców
twoich od zapalki blask

w poświęceniu cień
księcia zadrzał
i potomstwa

Gdynia, 2012

Garściami chleptanie snu

Obudziłem się
To był piękny sen
Byłem w nim szczęśliwy
Pamiętam jego nastrój
Choć zaraz po obudzeniu usiłował mi umknąć
Żeby go zatrzymać nie otwierałem oczu
Delektowałem się tym nastrojem
Udając sam przed sobą
Że śpię dalej

Obudziłaś się dzień dobry
Powiedziałem ci miałem piękny sen
Po prostu piękny najpiękniejszy w całym moim życiu
Umarłem w nim zaraz ci opowiem

Chciałem opowiedzieć
Lecz sen zaczął mi uciekać
Jakby ktoś otworzył korek w zlewie
Napełnionym kilkoma centymetrami wody
Która natychmiast zaczęła wirować
To sen usiłował się schować
Z powrotem w moją podświadomość
Jak już nieraz bywało zawsze
Powróciłby jako kontynuacja lub na nowo
Na kilka sekund przed kolejnym zaśnięciem kolejnego wieczora
A teraz mi uciekał i nie miałem siły go zatrzymać bo byłem świeżo obudzony
Wieczorem byłbym za bardzo już śpiący
Więc sen byłby sobie żył w mojej podświadomości
Jak sowa w nocy
Rano się chowa by powrócić o zmierzchu

Nie tym razem
Spanikowany usiłowałem wybrać wodę
Garściami trochę wychłapać

Ale do czego nie ma do czego
Więc rozpaczliwe łapałem resztki treści snu do garści
I je wynosząc ocalałem
W dwóch dłoniach tylko trochę wody
Reszta uciekła
Oto one garście wody

Byłem w pracy
Na jakimś wyjeździe z kimś kogo znałem
Mogliśmy zdobyć informacje o konkurencji
Dokonałiśmy kamuflażu i poszliśmy gdzieś spać lub odpocząć
Tymczasem niespodziewanie pojawiła się konkurencja
Więc kontynuowaliśmy kamuflaż
Nie zorientowali się więc weszliśmy głębiej z nimi w kontakt
Staliśmy się jednymi z nich
Byliśmy umówienie na spotkanie
Pojechaliśmy na to spotkanie

Wjechaliśmy do miasta bardzo przytulnego w swojej wielkości
Było to duże wielkością ale małe w nastroju miasto
To nie było małe miasteczko mieścina
Przypominało swoim nastrojem dzielnice ulice miast dalekowschodnich
Łączących kameralność z nowoczesną architekturą
Trochę z Californii i Skandynawii lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku
Nie było ludzi tylko białe kremowe budynki
Balkony komponujące się z budynkami
Na wyciągnięcie ręki
Chyba najbliższej temu miastu było do Singapuru w upalny dzień
Co w Singapurze oznacza klimat nie do wytrzymania

Szedłem i umarłem
Zginąłem
Zostałem zabity
On ten mój kolega też
Misji nie wykonamy więc powrót
Byliśmy na granicy życia i śmierci
Ale żeby dokonała się ta śmierć
Trzeba jeszcze było wsiąść do samochodu
I powrócić do domu kilkaset kilometrów

Miasto nagle ożyło
Stało się bardziej kolorowe
Zaczęło przypominać Honk Kong
Nagle zaczęliśmy iść w większej grupie
Wśród nich znajomi
Ci którzy mieli w moim życiu duży wpływ na mnie
We śnie niedookreśleni
Jeden z nich jak szliśmy w tą
Chociaż go nie było wcześniej w tamtą
To jednak szedł
Miał czapkę
Bardzo śmieszną futrzaną z delikatnych długich białych włosów
W kształcie zaokrąglonego na szczycie długiego na dwie szerokości pocisku
Jak czapki kozaków
I ten znajomy mówi że nie wraca w tej czapce bo to jest obciachowe
I chociaż zerwał się olbrzymi wiatr zimy i porywisty
To on tę czapkę wyrzucił i wichura ją porwała
Pobiegłem za nią bo jeśli on jej nie chce to ja ją chcę
Bo trzeba dbać przecież o zdrowie
Żeby się nie zaziębić
Nie ważne że przed chwilą umarłem i nie żyję

Złapałem ją między nogami
małego tłumu groźnie wyglądających młodych mężczyzn
Szybko dokonałem odwrotu
Widziałem moje towarzystwo na zakręcie w bramie domów
Dwieście metrów dalej
Oderwała się jedna postać i poszła w moim kierunku
To była kobieta

Co było chwilę wcześniej
Otóż jak goniłem czapkę to w tym samym czasie
Gdy oni szli do przodu
To ta kobieta poczuła zapach zupy z bocznej uliczki
I powiedziała że chce jeść
A oni żeby się nie wygłupiała
Bo to nie czas i miejsce i żeby dała spokój
Więc uszła jeszcze ze sto metrów

I gwałtownie zawróciła bo ona chciała zupy

Spotkaliśmy się w połowie drogi na wysokości tej uliczki z zupą
Zeszliśmy po kilku stopniach
Tam było spokojniej
Czekałem aż zamówi zupę z kociołka
Jak u ulicznego sprzedawcy
W małym chińskim półmilionowym mieście

Nagle przyszedł mi do głowy szalony pomysł
A gdybym tak nie wrócił ze wszystkimi do domu
Zostałbym taki zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią
Zacząłem intensywnie myśleć
Byłem sam całkowicie sam
Oparty o mur patrzący w dół uliczki
W nastroju śródziemnomorskim gdzieś w Palermo na Sycylii
Nie wracam
OK
Ale co będę robił
Jaki pomysł mam na życie w którym już umarłem
Czy będę dalej pracował dla kogoś
Któż mnie umarłego zatrudni
Będę wymyślał coś nowego
Nie mam na to pomysłu
A czas ucieka trzeba coś robić

I nagle zrozumiałem
Wszystko stało się jasne i klarowne
Będę robił co zawsze chciałem robić najbardziej
A na co nigdy nie miałem czasu
Póki żyłem

I nagle przestało mnie interesować
Ile za to dostanę i że to nie jest zbyt dobre
Żeby ktokolwiek to kupił
To przestało być ważne
Bo nie musiałem już zarabiać na życie
Bo umarłem
Bo nie żyłem

I w końcu mogłem robić to
Do czego całe życie czułem że jestem powołany

I obudziłem się
I sen chciał mi uciec
Powrócić do podświadomości
Spłynąć jak woda ze zlewu
Ale mu na to pierwszy raz w życiu nie pozwoliłem
Wyrwałem się z rozespania i spisałem
Jego dwie ledwo wybrane ze zlewu garście
I nie interesowało mnie czy te garście komukolwiek się spodobają
Umarłem więc nie było to ważne

Jednak nie umarłem
Żyję
I wiem dużo więcej o sobie niż wiedziałem przedtem
Jeszcze nie wiem co z tym będę potrafił zrobić
Przecież wiedziałem to wszystko przedtem tak samo
Świadomie i podświadomie
I nic z tym nigdy nie zrobiłem
Więc jaki jest powód żeby teraz coś z tym zrobić

Czy naprawdę będę musiał już umierać
Żeby na chwilę przed ostatnim oddechem pojąć
Że całe życie nie robiłem to
Co zawsze chciałem robić
A robiłem wszystko czego nie chciałem
Żeby zarabiać
Wydawać korzystać podróżować opływać chełpić się próżnować
Cóż mi z tego
Cały kosz ulotnych chwili pocałunków spojrzeń dotknięć
Drugi kosz smaków mniej lub bardziej egzotycznych potraw widoków i
zapachów
Trzeci kosz wiedzy doświadczeń książek filmów obrazów utworów
Czwarty kosz spotkań relacji bycia razem osobno w rywalizacji i wspólnym
wykonywaniu zadań
Cztery kosze zacierających się wrażeń i zdarzeń ulatujących z pamięci

Rozsypią się kiedyś całkiem

Teraz są dziurawe
Ale zanim się rozsypią
Przez moment zobaczę i poczuję całą ich zawartość
Całe moje życie zapyta mnie o siebie samego
I co wtedy sam sobie powiem
Że nareszcie chcę zacząć żyć tak jak chcę
Absurdalne
Więc
Co zrobię z tym snem
No co

Gdynia, 2012

Drzewa rosna w mieście

ulicami suna samochody
drzewami kwitna kwiaty

Gdynia, 2012

Przeciekanie padółu

głowa boli zauważa
że mdli się czas

Gdynia, 2012

Boisz się

czego się boisz
powiedz ty mi
a boisz się pomyłki
zmylenia się lękasz
że twoje życie się skończy
nie tu gdzie jest
na drugim końcu poręczy
na tym dolnym
na drugiej stronie tarczy
po zewnętrznej stronie ust
pod paznokciami piachu łój
pod skórą w krwioustroju
zastygnie bez znaczenia
truchłem

2013

Ludzie

Radia słuchają
Rwąc ze szpar treść reklam
Telewizję oglądają seriale
turniejowy hałas i głusza
z klubowego gwaru wyniosła
Nie czytają nie zostają w domu
Nie gaszą światła nie stają
w pół mroku się bojąc konduktu
swych myśli usłyszeć

2013

Miłośnik

przez życie podróży
wszak ludzki krajobraz
ważniejszy niż wiersz

pisz czy nie nie istotne
czy i o czym bo bycie
ważniejsze bo wizyta

bo podróż to spotkania

2013

Fota z Chin

Strzelić fotkę na fejsa
Z miliardem ludzkich mózgów
Pomnożonym przez czujące^[L]_[SEP]
pokolenia myślące pragnące

Pstryknąć zdjęciem miliony
hektarów fabryk fabryczek
zamieszkałych przez szarych tych
co utrzymują rodziny na wsi

Udokumentować jakoś
Obrusy resztek
Wszystkich kolorów jedzenia
Aromatów smaków ekstazy

Rozmazany tak obraz
Nie nadaje się do Insti
grama nie ma lukru wystukany
Na analfa-betycznym ajpadzie

No bo wykrztusić jak z siebie
Melodramat ludzkości w zakolu
Nawrotu obrazków i ikon
Naskalnych rysunków

Napisać Kantonu krajobraz
Industrii wbitej w ryżowe
Warzywne zagony i groble
Na których staruszka i rower

Szerokie zielone buszowe
Szare betony ceglane
Stłuczonej mozaiki
Starej kultury

Wyrazić tak prosto haiku
Kaligrafii trzech kolumn czystości
Maszynowym olejem i szmatą
Na rzece lustrem płynącej

Tysiące tysięcy tysięcy
Okien w obskurnych budynkach
Pozawieszanych majtkami
Z koszulek firanek

Pstryknąć zdjętko i uciec
Tam gdzie krwiobieg wszeteczny
Napędza podskórnym obiegiem
Ziemi równikiem południk

Guangzhou, 2015

Kompania w Hong Kongu

Meldunek w hotelu przyjemny
Czas płynie przystawki i wino
Angol z Australii emeryt
W miłą się wdał pogawędkę

Hindus się z boku przygląda
Chętnie w krąg wejść mu się spieszy
I z Południowej Afryki
Milczący dopełnia kompanii

I tak mijają butelki
Czas wyjść na miasto pokoju
Kanału dżonek rybiego
Tysiącem świateł drapaczy

Wracamy godziny minęły
Drzwi windy się roztwierają
Wita nas z lobby towarzysz
Błagalnym wzrokiem milczącym

Hindus o pomoc nas prosi
Nie mając klucza pokoju
Biedny w koszulce bez majtek
Dynda mu cała historia

Hong Kong, 2015

Nie się

ekscytujący jest odlot
wznoszenie i pułap
i fruwanie nieboskłonne

krótkimi chwilami
dzieckiem czujesz
wciśniętym w okienko

no bo śmigła bo koła i warkot
tak trzęsie kołysze
tę perspektywę zamgloną

tą ideą przez chmury
w pełnym wschodzie zachodzie
nad klockami przepolnej pustyni

ta myśl przeziera i życie
przewija rzekami mostami
autostradą przez ugór

bo już ścieżki nie widać
tam twój szalas ukryty
w listowiu tam tam wygrywa

i spozierasz do chmury
w owe kształty błękitu
smugą chwili zawisłą

tam i inni są ludzie
czy u góry czy dołu
przestworzą

spozierają
nie słyszą zgłoszeni

kubaturą techniki

z lądowaniem zasypiasz
wstrząs szarpnięcie zdziwienia
na sam koniec i zejście

jako starzec upływasz
tym pierwotnym zdziwieniem
pojęciujesz

wszechświat samiuśki
w tobie gości kosmicznie
się zaobserwowuje

Przestrzeń powietrzna, 2015

Dawno

Papierosy ma?

Kto?

No czy ma?

Ale kto?

No czy ma papierosy?

Ja?

No tak.

Nie mam.

A pójdzie?

Kto?

No czy pójdzie?

Ja?

No tak.

A gdzie?

No, po fajki.

Do sklepiku?

Tak.

No pójdę, a jakie?

Czerwone.

Ale jakie, jaka nazwa?

No czerwone.

Ale co tam napisane jest?

Nie wiem, bo te literki mi się mylą, czerwone są.

Nie czyta pan, nie pisze?

Nie bardzo. Trudno.

A do szkoły pan nie chodził? Chociaż to dawno musiało być...

W szkole był, ale nie pamięta. Dawno.

2015

Marzenia

można marzyć
sycąc się marzeniem
życie jest wtedy łatwiejsze

realizacja marzenia
wiąże się z cierpieniem
towarzyszącym rzeczywistości

przyjemniej przeżywać na ekranie
przygody niż doświadczać towarzyszących
im chłodu słoty smrodu niepewności

wirtualny świat jest bardziej przyjazny
nie ma nudy znużenia
zawsze można wyłączyć

2016

Opuszkami

muskając
powietrze

2016

Misja

Słowom dać inne słowa
Słowu dać słowo nadziei
Odpór ciosom siekiery
Balsam na rany stóp dłoni

Nie swoje cierniowe nie starczy
Bo królem kto więcej na barkach
Przewodzi z głazami u kostek

Trzos cieszy chwile niedługą
A jeśli długą to koniec
Władzy pieniędzy i sławy
Zostaje niesmak pogarda

Król wypłuł z ust glisty tasiemca
Słowami wyraził swą marskość
Pustkę zbłąkanego co nie żal

Nie czy zrozumie czy wygra
Z jazgotem myśli monarszych
Słowom dać inne słowa
W milczeniu dać słowo nadziei

2016

Ważności

Ci goście toczą dialogi
W tym barze na rogu
Zdobywają wszechświat

2017

Dialog

To jest obraz do dupy
ciemny ponury fatalny
w zasadzie beznadziejny

Ależ nie
dopiero teraz to widzę
jest piękno
a wiesz dlaczego
bo jest tylko jeden taki
nikt nigdy nie namalował takiego drugiego
weź cały internet
wszystkie obrazy kiedykolwiek namalowano

Takiego gniota nie znajdziesz
naprawdę

Ale wiesz co
pomyśl
tysiące lat temu
takich gości jak my
jeden namalował mamuta na ścianie
a ten drugi do niego
słabe skasuj

I co zapisałeś panie kolego

szukam tego
zobacz jak to szybko umyka gdy się nie zapisze
to są materiały do powieści
piszemy powieść
to właśnie
ale genialnie

Co zdanie to złota myśl

słuchaj mam do ciebie prośbę
pijmy ale już nie twórzmy

Ktoś to kiedy przeczyta
i powie
co za głąby

2017

Poranek

Pierwsza noc za oknem las
Mebli jeszcze nie ma
Wierszokleta ocknął czas
Szkicować Dor i Ma

Gdynia, 2018

Dla przyjaciół znajomych rodziny

Wartko półwiecze upływa strumieniem
Rączo sekundnik popycha godziny
Pomału miału przesuwa osady
Skał odsłaniając i złota drobiny

Wzbiera biała piana brzegiem o trawy
Z wiatrem walcząc dzielnie chwycić się pragnie
Plany ulotne i marzeń bałwany
W bańkach mydlanych wzlatują sromotnie

Cel pogania cele - się leją stągwiami
Milowych słupów nie nadążasz tykać
Zaklinasz spełnienie kamieni kręgami
W tył oglądając łatwo się potykać

Stawiasz kabałę: cóż warte miliony?
Spełnienia szczęścia marno w nich szukamy
Przyjaciół rodziny mocne niutony
Są sycącymi gron winnych koszami

Gdzieś tam w poszyciu wije potok życie
Przysycha na końcu choć wcześniej głazami
Poruszał i drążył w bazalcie w granicie
Radości i smutku wzdychaniem i łzami

Wartko półwiecze upływa strumieniem
Filutnie sekundnik popycha godziny
A wiersz zbyt poważny? No bez przesady
Dla przyjaciół znajomych rodziny

Spytam przekornie: w jakim oceanie
Krople się gromadzą z naszych wszech strumieni
Popatrz na klifie w przyboju wzbieranie
Wie Jeden co skryte pod stertą kamieni

Szyfruję przeżycia kodem rymowanym
Ochoczo sekundnik popycha godziny
Pod szkiełkiem kwa... sercowym głęboko skrywany
Dla przyjaciół znajomych rodziny

Gdynia, luty 2019

Poranka kra lka

Z lawy ciekną łzy
Gwiazdy migocą wieczorem
Latarnia miga semaforem

2019

W kajucie dziobowej

Zaległego pod pokładem
przez bulaj świat
a we mnie spokój
zakrzyku mewiego
zasmurzonego błękitu
fałów stoccato o maszty
w śwście pohuku i wyciu
głodnego soli wiatru
morskiego kwartetu
z ziemią i ogniem
melodii taktem
ja jestem

Marina Gdynia, 2020

Rzekł MaRRiano

Pan Bóg kocha wszystkich
Pomaga wariatom

2020